Nr. 8. Warszawa, dnia 9 (21) Lutego 1872 roku. ROK VIII

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ —
miesięcznie — „ 25

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Światu), Nr. 3 (nowy).

Serya trzecia

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

CZŁOWIEK SERCA.

„Będziesz pracował w pocie czoła dni sześć, siódmego odpoczniesz!" Dodajemy, że tym *siódmym* dniem, dla wielu — śmierć.

* * *

Z boku przy parkanie siedzi człowiek niemłody, w bluzie *robotnika* i kaszkiecie z ceraty; na twarzy znać ślady cierpień czy przebytych walk. On jeden nie posila się niczém, jest sam. Nikt nie spieszy doń z pozdrowieniem, ze strawą,—zdaje się jakby dziwny traf losu, czy też widoczny przesąd, oddzielił wszystkich od nieznajomego.

Posłuchajmy rozmowy jego towarzyszy:

— Panek coś strasznie smutny! rzekł wąsaty robotnik.

— Chłodno, głodno i do domu daleko, nic dziwnego że siedzi jak djabeł na wyspie.

— Ale *ci* mocny, to mocny.

— Niedługo tego!—zobaczysz, ustanie; zawsze to co szlachcic, to nie chłop.

Nagle odezwał się dzwonek.

Zerwali się wszyscy, zabrzękły rydle, zaskrzypiały koła od taczek, nasz nieznajomy, z widoczném wysileniem wiózł ziemię na okop pod koléj.

Pot zlewał mu czoło, ale milczał; ani jedno słowo skargi, nie wyszło z zaciśniętych ust.

Już zbliżał się wieczór; lekki wiaterek dmuchnął na rozpalone pola, jakaś balsamiczna woń unosiła się w powietrzu, całe niebo okryła złota jasność.

Robotnicy z tém większą skwapliwością pchnęli taczki. Za godzinę najdaléj czekał ich spoczynek pod własną strzechą, w gronie familji i dziatek.

Nieznajomy zdjął kaszkiet. Rzadki włos okrywał mu głowę. Odetchnął silnie, otarł pot spływający kroplami, wyprężył muskuły, ciężar był nad jego siły, zachwiał się i padł.... krew pokazała się na ustach.

Powstał pewien ruch między pracującymi, choć nikt nie spieszył z pomocą. Dozorca poskoczył, chcąc zbadać przyczynę powstrzymania robót.

— A to nieszczęście z temi *papinkami!* Weźcie go! krzyknął. Cóż się gapicie, wszak to także człowiek!

Na rozkaz dozorcy, robotnicy podnieśli nieznajomego; był strasznie blady, bezwładny, zlany własną krwią.

Pod barakiem złożyli omdlałego. Po chwilowéj przerwie, znowu brzęczały rydle, skrzypiały koła taczek.

W godzinę może nadjechał inżynier. Zobaczywszy leżącego nieznajomego, pobiegł co prędzéj, dotknął pulsu, zwilżył mu wodą skronie.

— O, dziękuję panu! rzekł, otwierając oczy nieznajomy.

Inżynier odskoczył. Głos nieszczęśliwego, jak iskra elektryczna, wstrząsł całém ciałem kierownika robót.

— Kto pan jesteś? zapytał, wpatrując się badawczo w zbladłą twarz mówiącego. Jak się pan nazywasz?

— Wincenty.....

— Wincenty Jezierski! krzyknął inżynier. Wszak tak? Nieprawdaż?

— Mylisz się pan! Jestem Wincenty Poraj, odpowiedział robotnik marszcząc brwi.

Inżynier rzucił mu się na szyję, objął go wpół, i nie mogąc powstrzymać się, zapłakał.

Robotnik konwulsyjnie chwycił inżyniera za ręce, cisnął go długi czas do siebie, potem szepnął:

— Więc poznałeś mię? To źle, bardzo źle! Wyparłem się wszelkich stosunków. Patrzą na nas! Nie kompromituj się!

— A, to okropne! rzekł znowu inżynier. Ty, w bluzie robotnika, przy taczce!?

— Wszak praca nie hańbi? Lepiéj uczciwie zarabiać na życie, jak gonić próżne marzenia i.... skończyć w rynsztoku!

Nie skończył, porwał go kaszel, krew na nowo pokazała się na ustach.

Inżynier zawołał ludzi, i Wincentego przeniesiono do powozu.

* * *

Noc. W pokoju oświeconym lampą, na łóżku spoczywa wybladły mężczyzna, obok niego siedzi doktór i znajomy nam inżynier.

— Nie męczcie mię, szepnął chory, — czuję że umrę;—ludzka nauka nie powstrzyma ubiegającego życia.

— Miéj pan nadzieję, rzekł doktór; wprawdzie wycieńczenie sił nadzwyczajne, ale jeszcze nie wszystko stracone.

Odeszli z inżynierem do okna; po kilku chwilach rozmowy, doktór wyszedł.

Chory znowu zakasłał.

— Janie! szepnął chory, dziękuję ci! przynajmniéj przyjaźń nie zawiodła mię na ziemi.

— Uspokój się; oddal smutne myśli; złe nie jest tak groźne; doktór zapewnił mię....

— Że jeszcze tę noc przeżyję. Zapewne. Blask słońca cudnie oświeca ostatnią chwilę konającego.

Inżynier odwrócił się, głos chorego sprawiał mu okropną boleść.

Upłynęła godzina, chory zdawał się uspokajać, oddychał swobodniéj; na bladych policzkach pokazały się jaskrawe rumieńce.

— Jakże mi dobrze, swobodnie, lekko! — życie, to okropny ciężar, odezwał się Wincenty. Zbliż się, rzekł po chwili do inżyniera; czuję, że nadeszła chwila, w któréj mogę wyspowiadać się z całego żywota....

—Słuchaj, mnie zabiła nędza; długi zepchnęły z drabiny waszéj społecznéj. Przeliczyłem się z siłami; rozpocząłem dzieło Syzyfa; spadło mi ono kamieniem na piersi....

—Pamiętasz? w uniwersytecie, jakie tworzyliśmy plany. Były one tworami myśli, serca i bujnéj młodocianéj wyobraźni,—ale te piękne obrazy nie miały tła, gruntu; brakło w nich woli i czynu....

—O, strzeż się tych, co sercem kochają życie, świat, ludzi; strzeż się tych płaczących, śpiewających łabędzi! Gdzie tylko serce zapanuje nad człowiekiem, tam upadek, niedola, głębia nieprzeniknione rozumem, niezwalczona siłą. Gdzie brak woli, tam blizkim sąsiadem szpital.... lub zbrodnia!....

— O! ja kochałem wszystko, wszystko co piękne, co wrażliwe. Nieraz w drganiach serdecznych, jam upatrywał wielkość myśli, a było to tylko.... marzenie; nieraz, gdy serce uderzyło gwałtownie i krew popędziła do głowy, zrywałem się olbrzymem... niestety! byłem tylko widziadłem choréj wyobraźni; w całém mojém życiu śniłem powietrzne zamki, gdy na ziemi potrzeba woli, walki i czynu!...

— Tak przebyłem wiek młodzieńczy, tak dojrzałem.

Chory zamilkł, rumieńce powiększyły się, oko nabrało dziwnego blasku.

— Poślubiłem kobietę piękną, młodą; dla mnie była ona aniołem, wieszczką ziemi—bo kochałem sercem i wyobraźnią...

—Któż nie doświadczył owych rozkosznych chwil małżeńskich słodyczy? Niestety! obraz to powierzchowny; tajemnice szczęścia małżeńskiego rozkrywają.... domy warjatów lub mogiły; chcesz dojść czém są owe sławione przez poetów raje hymenu, czytaj statystyczne wykazy.... występków i zbrodni....

—O, tak! nie brakło mi serca na miłość dla żony, lecz.... zbrakło mi woli męża. Kochałem i marzyłem, gdy należało — działać. Mężczyzna, powinien być wzorem siły i czynu, nie prostém narzędziem zachceń serdecznych....

—Ha! po dwóch latach.... zabrakło nam niezbędnych środków, na zaspokojenie potrzeb domowych....

— Człowiek rozumu chwyta się pracy; człowiek silnéj woli wyprze się gruchań łabędzich i poważnie rozpatrując przyszłość, w silne ramiona uchwyci los i walczy. Marzyciel załamie ręce lub odwoła się do jałmużny publicznéj. Pożyczka, to więcéj haniebna jałmużna, jak żebractwo uliczne; to nikczemna kradzież, to zbrodnia! Ty nie wiesz jak się łatwo pożycza, jak wyłudzony grosz szybko się rozprasza. Długi, to jak te plamy czarniawe zgnilizny na liściu, jak mech na zmurszałym dachu,—jak płomyk rzucony w przestrzeń leśną!

—Pierwszy pożyczony dukat, chłonie tysiące,—jak nieostrożnie rzucona iskra, wzrasta w pożar, w otchłań ognia!

—Pożyczałem; żyliśmy jak dawniéj—po roku, sprzedałem wszystko co miało jakąkolwiek wartość....

—Wierzyciel, nie ufa twemu słowu; każda zwłoka w wypłacie, plami twój honor; dłużnik, nigdy nie jest nieszczęśliwym, jest zawsze.... oszustem! Najuczciwsi ci, co niepotrzebują nic od nikogo; lichwiarze są emblemami honoru!...

— Daj mi wody, brak tchu w piersiach, rzekł chory.

Inżynier podał mu napój chłodzący.

— Widziałem, rzekł znowu, jak Marya pobladła, patrzyłem, jak się powoli do domu wkradał jakiś nieład, niby przedświt przyszłego upadku; nieraz, spotkany na ulicy znajomy, wątpliwy jakiś na ustach miał uśmiech,—w domu, cisza panowała grobu. Przesuwałem się na palcach, najmniejszy spór wywoływał okropne żale i łamania rąk! Jakże boleśnie patrzéć na ukochaną istotę, którą własném niedołęztwem doprowadziliśmy do nędzy. Biedaczka! miała dziurawe trzewiki....

Jednego dnia, ukończywszy całoroczną pracę, pobiegłem po zapłatę; przepisywałem na arkusze,—od dwóch dni nie mieliśmy drzewa. Wracam.... dziwny strach przejmował serce, tamował oddech; zbliżam się do drzwi, otwieram.... cicho. Pewnie jeszcze spoczywa. Stąpam na palcach... Co to jest? Pusto! Nie ma nikogo!...

—Janie! Janie, ratuj! Umieram! krzyknął chory, buchając krwią.

Inżynier rzucił się ku łożu.

Po chwili chory znowu otworzył oczy.

— Nie ma jéj! szepnął. Nie było! zawołał tłukąc się w piersi. Zostałem sam! Wypędziła ją nędza! Dlaczego opuściła mię? Dlaczego nie wyrwała serca.

—Nie płakałem! Ludzie sercowi w bólu, są to zwykłe kamienie! głazy noszące miana człowiecze!

—Siedziałem tak, blizko dzień cały. Nad wieczorem, przyniosłem butelkę wódki. Pierwszy raz w życiu zazdrościłem pijakom. Upiłem się! Cudowny trunek! szkoda tylko, że pociąga za sobą ból głowy i wycieńczenie sił.

—Zapomniałem o wszystkiém, a kiedy czasem obraz Maryi, jak natrętne widmo, przesunął się w mojéj myśli, zdwojona doza zbawczego nektaru, na nowo przywracała swobodę umysłu!

—Lecz nareszcie zbliżył się czas okropnego przebudzenia!

—Kiedy raz odurzony trunkiem, wracając do domu, potknąłem się o kamień i padłem — pamiętam, jakiś czarny tłum otoczył mię wokoło, urągliwe rozlegały się śmiechy, i na twarz mi padły niby rozpalone kawały żelaza.... próżniacza gawiedź obrzuciła mię błotem;—niedość tego; głos straszny, nieludzki dał się słyszéć prawie tuż przy mém uchu:

„Niech leży w błocie, okradł tylu ludzi i własną żonę wypędził nędzą z domu!"

—Zerwałem się.... byłem trzeźwy! spojrzałem w około i pobiegłem jak szalony.

— Publiczna hańba obudziła wolę; napiętnowany sromotą, w czynie miałem się odrodzić człowiekiem.

—Po trzech miesiącach błąkania się po drogach i lasach, zaszedłem aż tutaj.

—Budowano koléj; widok robotników natchnął mię zbawienną myślą. Zrzuciłem niezasłużone oznaki wykształconego człowieka, przebrałem się w bluzę i wprzągłem do taczki.

—W ciężkiéj, znojnéj pracy, odnalazłem pociechę dla zranionego serca, otuchę dla ducha, siłę dla woli.

—Po tygodniu, odezwały się wszystkie instynkta, zachcenia i wrażenia człowieka wznioślejszych idei. Zatęskniłem do życia innego.... już było zapóźno!

—Prosty robotnik nie miał prawa podać ręki równym kiedyś sobie....

—Nie zabiła mię praca,—zabiło mię uczucie służalstwa! nie zabiła mię nędza,—zabiło jarzmo roboczego wołu! Odbiegły gdzieś siły ciała, pozostały marzenia i tęsknota.

—Kiedym ostatnią wywoził taczkę, na wale spostrzegłem jakieś towarzystwo. Zaćmiło się w oczach, w piersiach pękła struna życia... padłem między zebranymi gośćmi.... była Marya; jak dawniéj piękna, uśmiechnięta,... w prostym robotniku, w bluzie kopacza nie poznała własnego męża!..

—Jezus Marya! Jakiż straszny ból!... Ratunku! Ratunku!...

Rzucił się na łóżku, wyprężył i—skonał.

* * *

Powoli sunął karawan; gromadka ciekawych towarzyszyła smutnemu obrzędowi; za trumną postępował inżynier.

Nieszczęśliwy, zmarł bez ostatniéj pociechy; opuścili go ludzie, jak zawiodły wszystkie w życiu nadzieje. Towarzyszyła mu tylko przyjaźń.

Człowiek serca—nie obudził nawet współczucia. *S. M.*

GAWĘDY PSYCHOLOGICZNE

Juljana Ochorowicza.

(Dokończenie gawędy IV-téj, patrz Nr. 6).

Pedagogiczna doniosłość potrzeby wrażeń. — Wrażenia jako źródło wiedzy i doświadczenia życiowego.— Znaczenie wrażeń dla umysłowości.—Jak z wrażeń powstają wyobrażenia. — Wrażenia pojedyncze i złożone. — Analiza wyobrażeń złożonych. — Bez wrażeń niéma wyobrażeń.

Mowiliśmy dotychczas o sile, z jaką *potrzeba wrażeń* odzywa się w organizmach dziecinnych, kierując tak przeważnie ruchliwą ich działalnością. Rozszerzyłem się cokolwiek nad tym przedmiotem, doprowadzając z życia wzięty przykład, do ostatnich jego konsekwencyj praktycznych, ażeby tym wyraźniéj dać poznać, jak liczne błędy pedagogiczne popełniać będziemy, jeśli tych zasadniczych praw natury ludzkiéj nie weźmiemy pod bliższą uwagę. Potrzeba wrażeń, jest popędem ogólnym, powszechnym, który uznać należy; u dzieci, występuje on wybitniéj, bo dziecko, mniéj wrażeń doświadczywszy, stosunkowo więcéj ich potrzebuje. Ten popęd powszechny, przyrodzony, nie da się wyrugować z mechaniki życia ludzkiego—zamiast więc czekać, aż wezbrany do stopnia namiętności, pod wpływem chwilowych pobudek, sprowadzi działalność młodego organizmu, na zgubną drogę wybryków i przestępstw — należy raczéj, od piérwszéj chwili, skoro się tylko zbudzi w dziecku żądza wrażeń, skierować ją tam, gdzie prawdziwy pokarm naukowy i moralny dla siebie znaléźć może. Że takie skierowanie jest możliwém, dowodzi tego zajęcie, jakie w dzieciach obudzają zabawki Froeblowskie, jeśli tylko umiejętna ręka zastosowaniu ich przewodniczy. Ale u nas poprzestają zwykle na powtarzaniu dzieciom dominikańskiéj maksymy, że *ciekawość jest piérwszym stopniem do piekła*, zapominając o tém, że jest ona przedewszystkiém *najpierwszym stopniem do światła, do wiedzy*. Kto owę ciekawość, owę potrzebę wrażeń, w dziecku wytępić usiłuje, ten mu zamyka wrota nauki, ten mu przeszkadza na drodze własnego doświadczenia wyrobić w sobie siłę do samodzielnéj, moralnéj działalności. Kto bowiem na podstawie własnych prób, spostrzeżeń, rozczarowań i powodzeń, nie wyrobił sobie własnego na sprawy życia poglądu, ten o własnych siłach ostać się nie zdoła. Będzie liściem, którym miota wiatr chwilowych podmuchów, chwilowych wrażeń i okoliczności. Ażeby umiéć przeciwstawiać się wrażeniom, nie upaść pod nawałem przeszkód, nie zachwiać się pod naciskiem chwilowéj potrzeby— musimy piérwéj *ulegać wrażeniom*, musimy pierwéj szukać ich, poddawać się, nim — doświadczać. Nie będzie umiał panować nad otoczeniem ten, kto w dzieciństwie wpływów jego niezaznał, kto go niepoznał. Dlaczegóż więc swobodną naturę człowieka krępować nadmiarem kar i zakazów, gdy gruntowniejsze poznanie jéj i skierowanie władz przyrodzonych, od piérwszéj chwili duchowego świtu — w odpowiednim kierunku i celu, uczyniłoby ludzi zdolniejszymi do oceniania własnego dobra, do pracy, nauki i cnoty.

Wrodzona potrzeba wrażeń jest tak potężnym środkiem edukacyjnym, jeśli ją tylko zrozumiéć i spożytkować zechcemy, że nawet przyrodzoną naturę młodego organizmu przeobrazić może.

Piérwsze wrażenia niemowlęce, piérwsze przykłady z dzieciństwa, piérwsze próby w wieku młodzieńczym, otoczenie towarzystwa, książki, wypadki polityczne, jednem słowem wszystko co pod kategoryą wrażeń podciągnąć się daje, zostawia ślad swój w naszym umyśle, w naszym organizmie, w naszéj woli i czynach. Czyż więc nie należy te z pomiędzy owych czynników, któremi rozporządzać możemy, dla pedagogicznych celów spożytkować? Jak ręka garncarza nadaje formę bezkształtnéj glinie, tak nas, w wieku dziecinnym *wrażenia* modelują i kształcą. Nie każdy organizm, co prawda, jednako się pod wpływem danych wrażeń nastroi — ale też i nie z każdéj gliny jednakie naczynie.

W naszych rękach leży władza kontrolowania wrażeń, które na grunt przyrodzonéj natury padają — to też w naszéj mocy leży władza rozwinięcia téj natury w tym lub owym kierunku.

Umysł dziecięcia na świat przychodzącego, to biała karta na któréj wrażenia życia, mają zapisać swe dzieje — jedne przychodzą po drugich, a te które przychodzą po piérwszych, ulegają ich wpływowi, padają bowiem na ich grunt. Na owéj białéj karcie, jedne wyrazy co chwila się zaciérają, inne co chwila powstają. Co mocniéj wyryje na niéj swój ślad, to dłużéj opiérać się będzie czasowi, dłużéj oddziaływać będzie na przyszłość. Życie i praca ciągle coś w owym rękopiśmie poprawiają, zmieniają, zostawiając jednak główne tło nietykalném. Są ludzie, u których ów duchowy rękopism wrażeń, mieni się jak kameleon; gdyby zdjąć z niego fotografiją dziś, niebyłby podobnym do swéj jutrzejszéj kopii. U innych przeciwnie, głoski, jakby przykute do karty, tkwią nieruchomo i oko badacza zawsze je odczytać może. W innych wreszcie, rękopism wrażeń staje się, jużto nieczytelnym ze względu na dziwaczne, nieprawidłowe, lub wybladłe ślady piętna, jakie na karcie naszéj duszy przypływ wrażeń odcisnął — już też pełnym dziwacznych sprzeczności, z niepowiązania z sobą śladów wynikłych. Ale wszędzie i zawsze przyznać musimy, że bez owych śladów, bez owych wrażeń, duch nasz pozostałby białą kartą. „Rodząc się nieprzynosimy z sobą nic na świat — mówi Franciszek Krupiński — mamy tylko zdolności do przyjmowania wrażeń zaglądających do naszego wnętrza przez zmysły, a idących od świata nas otaczającego; wrażeniom tym nadajemy nazwy, tworzymy dla nich szatę— wyrazy. O tyle znamy rzeczy, o ile one na nas działają, o ile doznane od nich wrażenia pamiętamy.” (Życiorys Milla). Bez wrażeń, niéma wyobrażeń. Bez wyobrażeń, niéma myśli. Ale o tém potém.

Świat, który nas otacza, zjawiskami swémi oddziaływa na nasze zmysły. Zmysły, przenoszą wrażenia do mózgu, gdzie zostawiają swe ślady;—czém one są? nie wiemy—lecz dajemy im wspólną nazwę wyobrażeń—ponieważ czujemy ich wspólność. Weźmy przykład. W ciemnym pokoju naładowano butelkę lejdejską i wydobyto z niéj *iskrę*. Blado-fijoletowe światełko mignęło przed nami. Promienie jego rozchodząc się po linijach prostych we wszystkich kierunkach, padły i na źrenicę naszego oka—przeszły przez soczewkę—zebrały się w jedną wiązkę, i na siatkówce, wewnątrz oka, utworzył się obraz owéj iskry—tak, jak na szkle fotograficzném tworzy się obraz przedmiotu, obraz odwrócony, z przyczyny skrzyżowania promieni. Ponieważ tak zwana siatkówka jest delikatną błonką, w któréj rozgałęziają się najdrobniejsze gałązki nerwu wzrokowego idącego do mózgu — przeto promienie światła padając na nie, podrażnią je. Podrażnienie to udzieli się dalszym włóknom nerwu, pod postacią jakiegoś nieznanego nam ruchu i w tymże stanie dojdzie do mózgu. Tu trafia na inny grunt; z włóknistéj tkanki substancyi białéj, przejdzie na komórkową tkankę substancyi szaréj, będącéj siedliskiem wyobraźni. Przez zmianę miejsca musiała się zmienić i natura wrażenia; rozprzestrzenia się ono i tutaj, pobudzając do drgań różne komórki, ale już nie w jednym kierunku, jak to miało miejsce w nerwie, lecz w różnych. Ruch tym sposobem rozchodzący się, jak kręgi od rzuconego kamienia na wodzie—rozbudza inne ruchy. Wrażenie iskry elektrycznéj niejest piérwszém dla mózgu. Poprzednio już, mnóstwo innych wrażeń wzruszało jego tkankę—niektóre z nich powtarzały się nawet bardzo często, nic więc dziwnego, że pobudzona na nowo tkanka, zaraz poczyna odbywać ruchy cząsteczkowe, do których przywykła. Następuje skombinowanie się pewnéj liczby podrażnień dawniejszych z nowémi. Jedne i drugie przestały być w mózgu wrażeniami, a stały się wyobrażeniami. Drganie eteru stanowiące pobudzenie światła, było niejako streszczeniem świetlnych własności iskry elektrycznéj. Obraz jéj na siatkówce, był streszczeniem i skupieniem tych drgań stanowiących pobudzenie. Ruch cząstkowy w nerwie wzrokowym, był znowu skupieniem i przeniesieniem tych drgań, które stanowiły chwilowy obraz na siatkówce — wreszcie wykształcenie wytworzone i ostatecznie skoncentrowane w mózgu, jest streszczeniem i ustaleniem w tkance szaréj, wrażenia, które przybiegło po nerwie.

Jakim sposobem *wrażenie* iskry w nerwie, stało się *wyobrażeniem* iskry w mózgu? nie wiemy. W jaki sposób wyobrażenie, jako pewien stan materyi mózgowéj, mogło się stać jasnym przedmiotem duchowéj świadomości, przy współudziale innych wrażeń? — to do pewnego stopnia usprawiedliwić sobie możemy—ale w tém miejscu wolę raczéj poprzestać na stwierdzeniu faktu, niż puszczać się na drogę metafizycznych wywodów, którym pochodnia doświadczenia nie przyświeca.

Wrażenie, któreśmy wzięli za przykład, było pojedynczém; to też i wyobrażenie z niego powstałe, również być musi pojedynczém. I rzeczywiście, w wyobrażeniu iskry elektrycznéj trudno dopatrzéć się części składowych. Równie pojedynczém będzie wrażenie jednego tonu—niepodobna go bowiem rozłożyć na części składowe. W zakresie dotyku, tak samo nie potrafimy rozłożyć wrażenia ukłócia delikatnym ostrzem. W sferze węchu—zapach róży jest również nierozkładalnym, jak zapach fijołka lub lilii. Z wewnętrznych wreszcie wrażeń, możemy wziąść za przykład ból zęba, głód lub pragnienie.

Wszystkie te wrażenia, stają się źródłem wyobrażeń pojedynczych. Ale podobne odosobnienie jednych pobudzeń od drugich, tylko bardzo rzadko ma miejsce. Zwykle, wrażenia których doznajemy, a ztąd i wyobrażenia które odtwarzamy, są dziełem kombinacyi pewnéj liczby podrażnień.

Jeżeli przypuścimy, że zamiast pojedynczego wrażenia iskry, na siatkówce naszego oka, utworzył się obraz człowieka stojącego przed nami, lub krajobrazu na który patrzymy—to obraz ten już oczywiście okaże się bardzo złożonym. I kolory, i cienie, i kształty, ułożone w bardzo skomplikowaną całość—składają się na *obraz* w oku, a *wyobrażenie* w mózgu.

Zamykam oczy— nie mniéj jednak pamiętam jak wygląda ów człowiek, jak wygląda ów krajobraz—mogę go sobie *wyobrazić*. Takie wyobrażenie nazwiemy *złożoném*. O przykłady bardzo łatwo; każda melodya, którą pamiętamy, każdy przedmiot, każdy wyraz—są wyobrażeniami. W melodyi bowiem rozróżniamy tony—w przedmiocie, jego barwy, kształt, powierzchnię, twardość, ciężar—w wyrazie, jego dźwięk, jego postać piśmienną, zgłoski i litery z których się składa. Jeśli jakiekolwiek wyobrażenie złożone rozebrać na części, to przekonamy się: po 1-e, że jest ono złożone z wrażeń czy to zewnętrznych, czy wewnętrznych, w pewien sposób skombinowanych—i po 2-e, że odejmując pojednemu owe wrażenia, od wyobrażenia złożonego—wreszcie wypadnie nam *zero*. Co dowodzi, że w skład wyobrażeń złożonych, wchodzą *tylko* wrażenia—czyli, że cała nasza wiedza z wrażeń powstała. Weźmy znowu przykład.

Trzymam w ręku *djament*. Przeczytanie tego wyrazu wystarczyło do wywołania w umyśle czytelnika *wyobrażenia* djamentu. Rozbierzmy je na części. Djament jest bryłką materyi, pewnego rodzaju ciałem, posiadającém własności wyróżniające go od innych ciał. Każda z tych własności może być ocenioną zmysłami—jest więc źródłem wrażeń. I tak: widzimy przedewszystkiém, że djament ów zajmuje pewną przestrzeń, że ta przestrzeń jest ograniczoną jego kształtami, jego powierzchnią—że massa tą powierzchnią ograniczona, posiada własności działające na wzrok idotyk.

Odejmujmy z kolei te wrażenia jedne od drugich, począwszy od najbardziéj powierzchownych.

Djament ma własność silnego załamywania światła, wytwarzającą w nim cudowną grę kolorów. Własność ta działa na wzrok—odbierzmy mu ją. Pozostanie kawałek zwykłego szkła. Odbierzmy mu własność odbijania światła w ogóle—a pozostanie kawałek materyi bezkolorowéj, którą trudno sobie wyobrazić, ale którą pojąć możemy. Djament nasz ma jeszcze pewne kształty, które czujemy w palcach, ma twardość, gładkość lub chropowatość powierzchni—odejmijmy z kolei i te wrażenia i usiłujmy wyobrazić sobie djament bez nich. Pozostanie nam wyobrażenie materyi bezbarwnéj, bezkształtnéj, niedającéj się bliżéj opisać. Przypuśćmy jednak że taka materya, objawia jeszcze pewien ciężar—wywiera pewne ciśnienie na to na, czém leży, i które to ciśnienie możemy zmierzyć za pomocą wagi, nie patrząc na owe ciało i niedotykając się go. Lecz źródłem wyobrażenia ciężaru, będzie zawsze pewnego rodzaju wrażenie, działające na zmysł muskularny w chwili gdy ciało dane położymy na ręku—bez tego uczucia nie moglibyśmy pojąć co to jest ciężar. Odbierzmy mu tedy i tę własność. Cóż zostanie? Nic. Nasz djament rozpłynął się w nicości, znikając stopniowo w miarę tego, jak kolejno odbieraliśmy mu jego przymioty. Wyobrażenie djamentu rozłożyło się na pierwiastki i znikło. Niechże bowiem ktokolwiek zechce wyobrazić sobie ciało, nieposiadające koloru, nieposiadające kształtu, powierzchni, pewnego stopnia twardości i ciężaru? Niepodobna. Czegóż to dowodzi?

To dowodzi, że *bez wrażeń niema wyobrażeń.*

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(*Dokończenie—patrz N-r 7*).

b) Odwaga i energja.

Odwaga jest kardynalną cnotą woli; energia—umysłu. Bez odwagi i śmiałości, nic wielkiego ani pożytecznego nie dokaże się na tym świecie. Przysłowie mówi, że świat do *odważnych* należy. Dobre przedsięwzięcia, pięknémi i szumnémi zapowiedziane słowami, nie są jeszcze chlubnémi zaletami,—owszem usprawiedliwiają drugie trafne przysłowie: że całe piekło brukowane jest *dobrémi chęciami*. Jedynie niezłomne postanowienie i mocna wiara w siłę moralną, stanowią ową wyższą odwagę, dla której nic niemasz niepodobnego, a która, według słów ksiąg świętych, pozwala przenosić góry z jednego miejsca na drugie.

Samolub i człowiek nieczystego sumienia, zawsze są bojaźliwi; jedynie czystość serca i miłość ludzi, wytwarzają odwagę, któréj wrazie niebezpieczeństwa, nadludzka siła w pomoc przychodzi.

Kto dzieci swoje wychować pragnie do dzielnych czynów, odwagi i poświęceń, niechaj się stara ustrzedz ich młodociane serca od denerwującéj miłości dla uciech, chroni je od próżności i zamiłowania czczych oklasków pochlebców, i od ziemskiéj pychy. Niejedno młode serce, wstąpiwszy na ślizką ścieżkę zmysłowych ponęt, wstydzi się same z początku téj jadowitéj miłości zmysłowéj, i w swéj pięknéj dumie, radeby się zwróciło ku wyższym i trwalszym przyjemnościom świata umysłowego, gdyby z wiekiem, przy braku dobroczynnego kierownictwa i przestrogi, ułudy ziemskie nie zastawiały coraz zdradliwszych sideł na nie i nie obezwładniały skrzydeł, gdy te chcą zerwać się do śmielszego lotu. Jest chęć, ale brak woli — owéj stanowczéj, męzkiéj determinacyi... by się oprzéć zwodniczym pieszczotom, którémi je słodki głos syreny coraz mocniéj ku sobie nęci, by tém pewniéj na sercu i duszy skrępować, i dla siebie na zawsze zniewolić. Szczęśliwy, komu jak Herkulesowi na rozstajnéj drodze, uda się wyrwać z tych różanych więzów. Czekają go wprawdzie olbrzymie prace, walka niezmordowana, — ale w nagrodę policzon zostanie między wielkich!...

c) Mądrość [1]).

Jest to zamiłowanie nauki i prawdy, sprawiedliwość w oddawaniu słuszności sądom i czynom drugich. Bystrość umysłu, idąca w parze z mądrością, umié łatwo i szybko zajrzéć w głąb duszy, porównywa trafnie, a rozróżnia *dobre* od *złego* odrazu i dokładnie, przyczém zawsze i wszędzie, z największą zręcznością, potrafi nakreślać sobie właściwy plan do czynu. Mądrzy ludzie są nauczającymi w rozrywce, a miłymi pośród najliczniejszego towarzystwa. Są użyteczni w ogóle, a w każdym interesie, można z zupełną pewnością na nich polegać, ponieważ w każdym kroku okazują takt, i nigdy nie przekraczają granic ludzkiéj siły i możności.

Ten wzniosły i zaszczytny przymiot, rozsądni rodzice i wychowawcy wtenczas tylko zdołają doprowadzić w dzieciach do pewnego stopnia wydoskonalenia, jeżeli—rozumié się przy odpowiednich zdolnościach dzieci—przestrzegać będą, ażeby nigdy nie prowadziły rozmów płytkich, przesadnych albo niedorzecznych, i nie wydawały sądów dorywczych, bez poprzedniego zastanowienia się dokładnego nad przedmiotem. Nadto, wystrzegać się należy, ażeby pomiędzy dziećmi jednéj i téj saméj rodziny, nie dawać pierwszeństwa jednemu przed drugiém, i nie uwzględniać owego roztargnionego niedbalstwa w myśleniu, które prowadzi do urojeń i fantastycznego marzycielstwa, co często, a tak mylniej niektórzy rodzice już z góry biorą za genjalność. „Bowiem mądrość"—powiada Rej z Nagłowic— „jest coś dziwnego, coś poważnego, a prosto jest z nieba dar Boży, który nigdy ponuro w ziemię nie patrzy, jako gęś skubiąc trawę,—ale buja sobie w rozmyśle poczciwego człowieka, jako orzeł, zawżdy z wysoka upatrując, a każdy czas zważając, gdzie co przystojnie, i do czego przystosować może, oraz na to, co może na wszem ozdobić człowieka poczciwego. Nic u niéj fortuna, ma ją sobie za mamkę a za pochlebnicę, która przed oczyma rodziców dziecię pieści, a zaszedłszy z niém za węgieł, to je uszczypnie albo usiecze. Nic też u niéj niefortuna, tę sobie ma za wicher, który pochwyciwszy kęs śmieci jakich, a kęs ten zawierciwszy, i ze śmieciami w niwecz się obróci, — bo co jest potrzebnego, tego porwać nie może."

[1]) Przyjmujemy ten wyraz w znaczeniu jego powszedniém, w zastosowaniu jego dość częstém w życiu.

Krótko mówiąc,—mądrość zdobywa się przez naukę i trafne zastosowanie do zdolności człowieka, życia.

Mądrość łatwo poznać w człowieku po tém, że jaśnieje zawsze swoim własnym, a nie pożyczanym blaskiem, i że tą swoją światłością stara się widnokrąg do koła siebie rozwidnić a naukę którą sam posiada, daléj gorliwie krzewić, czyli *oświatę szerzyć*.

d) Uczucie honoru.

Ta szlachetna zaleta człowieka, dbającego o to, ażeby nietylko w oczach drugich, lecz i przed sobą samym miéć pewne znaczenie, — a przedewszystkiém troskliwe przestrzegającego, ażeby uczucie osobistéj godności, w niczém przez drugich obrażoném nie zostało, — to uczucie, w wieku młodocianym, powinno być wysoko cenioném i nadzwyczaj troskliwie pielęgnowaném. Z tego bowiem czystego i świętego uczucia, niecierpiącego o sobie złéj opinii ani niezasłużonéj nagany, brzydzącego się najmniejszą plamą na swéj dobréj sławie i imieniu, jak z przezroczystego źródła, wypływa wiele innych pięknych cnót, które na każdém przyszłém stanowisku człowieka jaśnieją ozdobnie, a w gronie familijném, równie jak w życiu społeczném, stają się wzorem do naśladowania.

Prawdziwe uczucie honoru, należy odróżnić od dumy i pychy; te bowiem, mają zupełnie inny charakter, zupełnie nawet tamtemu przeciwny. Charakterystyką dumy, jest żądza zaszczytów, zaś pychy, próżna zarozumiałość, będąca przywarą ludzi *słabych* i *maluczkich* wymagających w najmniejszych drobnostkach powierzchownéj czci, a czujących się być obrażonymi, skoro się z nieuwagi względem nich byle czegoś zaniedba — co według ich rozumienia rzeczy, pod żadnym pozorem stać się nie powinno.

Uczucie honoru podnosi się w dzieciach przedewszystkiém przez uszanowanie w nich samych tego pięknego objawu, i zachętę do pielęgnowania go nadal. Zatruwa się zaś takowe i przytłumia, łżeniem, surowością lub niesprawiedliwą naganą.

Uczucie honoru —nazwijmy go zwykle używanym wyrazem, szlachetna ambicja — zajmuje tak ważne miejsce w wychowaniu dzieci, że wszystkie inne, najcelniejsze nawet przymioty, przy braku tego uczucia, do zera spaść muszą.

Największym może błędem rodziców i wychowawców, odnośnie do téj cnoty, jest to, że dzieci nasze w zaciszu domowém za mało kochamy, t. j. że ich zasługom udowodnionym za mało oddajemy pochwały, jak o tém przy cnocie pilności powyżéj nadmieniliśmy. W obec drugich tylko, należy w osądzeniu własnego dziecka być surowym i sprawiedliwym, i nie świadczyć mu względów, częstokroć niezasłużonych; a to dlatego, ażeby opinja publiczna wydała się dziecku poważną, niezbędną i nieubłaganą. W domu zaś, wypada szacunek jego własnéj osoby ustalać i utwierdzać gorącém uznaniem i godném ocenieniem jego najdrobniejszych nawet zasług, ażeby swój honor, prawdę i własne przekonanie nauczyło się wyżéj cenić, niż pozorny blask i pochwałę świata.

Należy wychowańcowi jasno przed oczy postawić tę zasadę, że bez zamiłowania pracy, obowiązku i cnoty, szacunku ani wziętości nikt u ludzi poczciwych sobie nie zdobył; — a jeżeli gdzieindziéj działo się lub inaczéj dzieje, to niech będzie przekonanym, że ta pozorna cześć,—to chwilowa tylko adoracja pochlebców, która jest zmienną i niestałą, jak uśmiech przypadkowego szczęścia, poza którym, z ponurém i groźném obliczem stoi rozczarowanie.

Na téj pięknéj zalecie człowieka w zakresie umysłu, zamykam ten króciutki pogląd na tak wielki przedmiot, jakim jest wychowanie dzieci;—bowiem pewnym być można, że od głębokiego zakorzenienia się uczucia honoru, czyli szlachetnéj ambicji w sercu wychowanka, rozpocznie się perjod jego samodzielności, i że zdolnym być może wychowywać się już sam, założywszy tym sposobem fundament do zasad, z któréj to drogi żaden obłęd ponętny, żadna chytra zdrada, już go nie sprowadzą.

Ze zdobyciem więc tego szlachetnego uczucia, i przy wstąpieniu na bity gościniec zasad, moralne kształcenie naszego wychowanka już jest na ukończeniu; mówię moralne, nie kształcenie naukowo-umysłowe, to bowiem dopiero z życiem się kończy.

Na zakończenie,—skreślę maleńki obrazek, schwycony na Wystawie Paryzkiéj w roku 1867, a dający się odświeżyć i najwłaściwiej zastosować do przedmiotu wychowania. Takie szkice krzepią umysł, dłuższém nieco zajęciem znużony.

Otóż, pomiędzy bujném zaroślem drzew na Wystawie Paryzkiéj, — w stronie parku, gdzie się nic nadzwyczajnego domyśléć nie można było,—w cieniu platanów i akacji,—bielił się skromny domek o kilku słupkach, najprostszéj konstrukcji. Tłumy widzów, szukających silnych wrażeń w pałacu i ogrodzie wystawy, mijały ten cichy przybytek, bo tam nie spodziewały się znaleźć ani misternych

gobelin, ani pysznych zwierciadeł,—ni bogatych klejnotów, bronzów wspaniałych, ni zbytkowych szat. Tylko ptaszęta, ośmielone spokojem tego ustronia, wylatywały z jego gęstwin ku swym gniazdkom, uwitym pod cieniem dachu tego niepozornego zacisza,—a podlatując pod jego nizkie okna, zaglądały poufale przez szyby do wnętrza, jakby tam szukały swoich towarzyszy. A jednak, któżby uwierzył że w tym prostym domku, jakby w stajence betleemskiéj, mieściło się przyszłe błogosławieństwo i doczesne zbawienie ludzkości,—ukrytą była przyszła, może wspanialsza wystawa świata—przeznaczenie, cel wielki, pomyślność, świetność i chwała rodu ludzkiego!

I cóżby to było tak ważnego, zapyta niejeden, ażeby można było przeoczyć?... Czy księgi sybilijskie tam leżały ukryte?... Czy kamień mądrości tam był przechowany?.. Być może, że jedno i drugie. Oto, była tam kolebka przyszłych losów świata. Była to wzorowa szkółka elementarna.

Wszedłszy do téj świątyni dziecinnego zacisza,—bo tylko dzieci w niéj nie było — z podziwieniem i błogą otuchą znalazłem tam nagromadzone bogactwa początkowéj wiedzy dziatwy. Ławki proste, podobne do pulpitów, oddzielne dla każdego ucznia, pomiędzy któremi nauczyciel przechadzać się może, znamionowały głębokie doświadczenie, zastosowane do celu dobrze wyrozumowanego. Katedra nauczycielska, takiéj saméj konstrukcji, tylko nieco większego rozmiaru, umieszczona była na podniesieniu jednego stopnia, naprzeciwko uczniów. Po ścianach, rozwieszone były abecadlniki z wsuwanemi literami i cyframi, ułatwiające naukę czytania i rachowania. Na ławkach uczniów, leżały okazy wzorowo-pięknego pisania i rysunków, wyobrażających najrozmaitsze zwroty gimnastyczne. Obok nich, złożone były ogromne teki, mieszczące w sobie zielniki roślin, najstaranniéj zasuszonych, wedle klas uporządkowanych i na papier naklejonych. Geografja fizyczna, podana w rysunkach i przyrządach, w najprzystępniejszy sposób. Daléj, rozpostarte wisiały na ścianach mapy części swiata i pojedynczych krajów Europy, a obok nich, z czarném tłem, mapa gwiaździstego nieba. Na stole ubocznym stał globus ziemi, a przy nim wyobrażenia lunacji i układ planetarny. Na przeciwległéj ścianie poumieszczane były illustracje kolorowane z historji świętéj, a dalsze płaszczyzny tych ścian zdobiły piękne wizerunki z najwybitniejszych ustępów historji powszechnéj i ojczystéj. Pod temi, leżał nagromadzony spory zapas przedmiotów, należących do nauki mineralogji i geologji, zaś obok, rozmaite przybory do jeometrji i fizyki. W kącie, stała szafa napełniona skromnie oprawionémi książkami przeróżnéj treści, odnoszącémi się do pomienionych umiejętności, najpopularniejszych autorów.

Oddział ten, w którym tę skromną wielkość znalazłem, a z którego wyszedłem bardziéj zadowolony i więcéj uszczęśliwiony niż z całéj wystawy, oddział ten parku wystawy,—z tą wzorową szkółką elementarną,—należał do Szwecji. I ta, na pozór ubożuchna szkółka, nazwana elementarną, wydała mi się najdroższym klejnotem, obok którego cała wystawa świata była tylko jego bogatą oprawą.

Z POWODU ARTYKUŁU PANA NIEWIADOMSKIEGO:

„O TRUCICIELKACH W PAŃSTWIE FLORY."

Podał Dr. Józef Bagiéński.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 7.)

Familja Baldaszkowych, *(Umbelliferae.)*

Familja baldaszkowych roślin, jest jedną z najliczniejszych, a cechami botanicznemi zewnętrznemi, największe zachowują między sobą podobieństwo; własności jednak bardzo są różne, zależne od części składowych, w roślinie przemagających. Rośliny baldaszkowe, zawierające większą ilość oleju lotnego, posiadają zapach aromatyczny i te nie są podejrzane. Mające w swym składzie przemagającą ilość żywicy extraktowéj, są bez zapachu i należą do roślin trujących, narkotycznych. Rzecz pod względem nawet ekonomicznym, godną jest uwagi, iż baldaszkowate rośliny będące jadowitéj natury, przez uprawę, tę jadowitość zupełnie tracą, jak tego przykład widzimy na selerach. Natura gruntu także wiele ma wpływu na własności roślin baldaszkowych; te, które rosną na suchych, słonecznych miejscach, są pospolicie aromatyczne i nieszkodliwe, rosnące zaś w miejscach cienistych, wilgotnych, są narkotyczne, przez przewagę ekstraktowych części w roślinie.

1. Pietruszka Selera *(Apium graveolens)*. Roślina ta w Europie południowéj i u nas na Podolu i Ukrainie rośnie dziko nad wodami. Łodyga łokciowa i wyższa, liście dwa razy piérzaste, lśniące, baldaszki międzylistne, prawie bezszypułkowe. Korzenie téj rośliny dziko rosnącéj, są bardzo jadowite, przesadzona zaś roślina do ogrodu, jadowitość swą utraca.

2. Szaléj jadowity *(Cicuta virosa)*. Roślina krajowa. Często braną bywa za jednoznaczne przez niepraktycznych botaników z Pietrasznikiem plamiastym. Tak się stało i z p. Niewiadomskim. Tymczasem pomienione rośliny, tak swojémi własnościami trującémi, jak i cechami botanicznémi różnią się zupełnie od siebie. Dla lepszego obznajmienia się czytelników, z dwiema przytoczonemi trucicielkami, zestawimy je obok siebie:

2. Pietrasznik plamisty (*Conium maculatum*), niewłaściwie przez p. Niewiadomskiego Szalejem (*Cicuta*) nazwany, rośnie w ogrodach około płotów, rzadziéj na polach. Łodyga dwułokciowa lśniąca, gładka, wewnątrz dęta, czerwono plamista; liście trzy razy piérzaste, listki piérzasto-dzielne, pokrywy wielolistkowe, liście ciemno-zielone, cokolwiek lśniące; kwiaty białe; nasienniki jajowate, po bokach spłaszczone, zaopatrzone dziesięciu żeberkami. Ziele suszone posiada zapach nieprzyjemny, do moczu kociego podobny, smak ostry; przy zwilżaniu ziela roztworem gryzącego potażu, zapach nieprzyjemny wzmaga się. Krajowy Pietrasznik ma łagodniejsze trujące własności, rosnący zaś w południowéj Europie, bez porównania gwałtowniejszą jest trucizną i dla tego niegdyś był używany jako czynna trucizna dla skazanych na śmierć. Sokiem téj rośliny, Sokrates i Focyon byli otruci.	Szaléj jadowity (*Cicuta virosa*), u pospólstwa *Swinia wesz* się nazywa. Roślina krajowa rośnie w wodach lub miejscach wilgotnych. Łodyga półtora łokciowa, gruba, okrągła, brózdowana, liście trzy razy piérzaste, listki troiste, ostre, piłkowane, pokrywy równowązkie, szczecinowate, kwiaty baldaszkowe, białe, naprzeciwlistne, baldaszki u spodu czerwonawe; nasiona dwojaczkowe kuliste, pięciozębnym kielichem uwieńczone, z dwoma zgiętemi słupkami; na każdym nasionku znajduje się po pięć żeberek. Owoce tłuczone mają zapach aromatyczny, do Kminu zbliżony. Rosnąca w wodach, jest znacznie wyższą od rosnącéj na miejscach bezwodnych, i ta ostatnia o wiele mocniéj trujące ma własności. Należy do trucizn zabójczych, narkotyczno-ostrych i dla tego w medycynie dla swych trujących własności wcale nie jest używaną.

3. Mordownik pospolity *(Aethusa Cynapium)*, *Blekotem* niekiedy niewłaściwie nazywany. Rośnie wszędzie w ogrodach, a zwłaszcza między pietruszką często się trafia, z którą wielkie ma podobieństwo, a dla swych trujących własności, starannie powinien być odróżniany i usuwany. Różni się od Pietruszki ciemniejszą zielonością liści; w pierwszym roku kwiat zawięzuje, Pietruszka zaś jest dwuletnią. Listki Mordownika dwa razy piérzastodzielne, Pietruszki zaś dwa razy podzielne, ułożone i lśniące. Przy potarciu liście mordownika wydają zapach nieprzyjemny, narkotyczny, odurzający, Pietruszka zaś przy roztarciu wydaje zapach aromatyczny, sobie właściwy.

P. Niewiadomski, Mordownika (*Aethusa Cynapium*) opisał jako Blekot pospolity, *Lulkiem* przez botaników nazywany (*Hyoscyamus niger*), należący do familji psiankowych (*Solanaceae*), dając Mordownikowi liście do cykoryi podobne, a korzeń dorównywający Pasternakowemu. Tymczasem w mordowniku listki i korzonek najbardziéj do pietruszkowych są zbliżone, a korzeń pasternakowy posiada Lulek (*Hyoscyamus niger*). Niżéj, pod rubryką familji psiankowych, czytelnik znajdzie dokładniejszy opis Lulka, który przez p. Niewiadomskiego zupełnie opuszczonym został.

Familja Psiankowych, *(Solanaceae)*.

Wszystkie rośliny do téj familji należące, odznaczają się niepozorną barwą kwiatów ciemno-zielonemi liśćmi, a przytém we własnościach swoich są mniéj więcéj podejrzane, chociaż niektóre z téj familji, jak Kartofel *(Solanum tuberosum)*, Pomidory (*Solanum lycopersicum*), do jadalnych się zaliczają. Większa część z téj familji są trujące i narkotyczne.

1. Pieprznik roczny (*Capsicum annuum*). Roślina roczna, z krajów wschodnich pochodząca, u nas w ogrodach uprawiana, odznacza się owocami w kształcie podłużno-konicznych torebek, w rozmaitych kolorach, najczęściéj pąsowym, pod imieniem *tureckiego pieprzu* znanemi. Torebki zawierają w sobie, a szczególniéj w nasionach ostrość palącą, która od alkaloidu Kapsiciny zależy. Użyte w większéj ilości, działają swoją ostrością na żołądek, wzbudzając zapalenie. W Węgrzech używa się dla przygotowania tak zwanéj *Papryki*.

2. Pokrzyk, Wilcze jagody (*Atropa Belladona*). Roślina trwała, rośnie dziko w Europie południowéj i na Podolu także się natra-

fia, liście ma eliptyczno-lancetowate, ciemno zielonéj barwy, zapach wyraźniejszy w liściach aniżeli w korzeniach, smak zlekka ostry, nieprzyjemny. Korzenie znacznéj długości, około dwóch cali grube, żółtawego koloru, smak słodkawy z ostrym połączony. Jagody wielkości wisien, po dojrzeniu czarne, połyskujące; smak posiadają słodkawy, nie przykry. Najwyższą własność narkotyczną trującą mają jagody, któremi dzieci, zwabione podobieństwem do wisien i znaczną słodyczą, nieraz trują się bez ratunku. Trujące własności pochodzą od alkaloidu *Atropiny*. Roślina, w stanie dzikim rosnąca, daleko więcéj zawiera w sobie Atropiny, aniżeli w ogrodach, na żyznym gruncie uprawiana, a ztąd i pierwsza gwałtowniejszą jest trucizną.

3. Bieluń pospolity (*Datura Stramonium*). Roślina pochodząca z Azji mniejszéj, do nas w XVII wieku przez Cyganów ze wschodu przyniesiona, dzisiaj do krajowych się liczy i w ogrodach sama rozplenia. Na kilkaset lat przed Chrystusem, znaną była roślina trującą; Teofrastus nazywał ją *Manichos*. Störck w Wiedniu, w roku 1762, pierwszy zastosował ją do użytku lekarskiego. Łodyga Bielunia gałęzista, miewa do sześciu stóp wysokości; liście kątowato ząbkowane, kwiaty lejkowate białe, torebki czterościenne, kolcami ostrémi gęsto najeżone, wewnątrz zawierają mnóstwo nasion, po dojrzeniu zupełnie czarnych, wielkości bujnéj konopi, chropawych, nerkowatego kształtu. W medycynie, same tylko nasiona służą do użytku. Kwiat i liście mają zapach przykry, narkotyczny; cała roślina należy do trucizn narkotycznych, zabójczych.

4. Blekot pospolity, inaczéj *Lulek* nazywany (*Hyoscyamus niger*). Roślina krajowa, najczęściéj dwuletnia, zdarza się wszakże i jednoroczna,—wówczas, przez niektórych botaników, za oddzielny policzona bywa gatunek, *Hyoscyamus agrestis* nazywany. Rośnie wszędzie około płotów, na zaniedbanych dziedzińcach i gruzowiskach. Łodyga gałęzista, do trzech stóp wysoka. Liście korzeniowe, szerokie, w pierwszym roku w okrąg po ziemi rozesłane, krótko-ogonkowe, podłużnie-jajowate, buchtowato (pomarszczono) ząbkowane, siwo-zielone, z obu stron włosami gruczołkowatémi pokryte. Liście łodygowe, górne, znacznie są mniejsze, łodygę do połowy obejmujące. Kwiaty na krótkich szypułkach (ogonkach), kłos jednostronny formujące, pięcio-płatkowe, brudno-żółtawe, pręgami fioletowémi siatkowane. Nasienniki torebkowate, dwukomórkowe, pokrywką opatrzone, po odpadnięciu któréj, wysypują się nasiona drobne, zupełnie do maku podobne, popielatéj barwy. Cała roślina wydaje zapach watrętny, narkotyczno-odurzający. Nasiona zapachu nie mają, a smak gorzkawy, nieprzyjemny; i tém tylko od nasion maku łatwo się rozpoznać dają. Wszakże dzieci, często nasiona Blekotu zamiast maku jedzą, nie zważając na smak odmienny, gorzkawy, wywołujący groźne objawy zatrucia, najczęściéj śmiertelnego. Największą własność narkotyczną, trującą, posiadają korzenie, do pasternakowych zbliżone, które nie rzadko, przez pomyłkę do potraw zamiast pasternaku użyte, fatalnego otrucia stają się powodem.

(*dok. n.*)

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy.*)

— Zarzut ten byłby straszny, gdybym Blankę Cains rzeczywiście kochał, ale miłość ta zgasła już oddawna. Zaraz w pierwszym tygodniu jéj przybycia do tego domu spostrzegłem że jéj nie kocham. Walczyłem mocno z sobą, ale napróżno, bo ona sama była winną téj zmiany. Teraz, zazdrości nie czuję wcale, tylko litość nad Jakóbem i żal trzech lat zmarnowanego życia mego. Uwielbiałem ją wtedy; była piękna; wydała mi się bóztwem.

— I cóż wpłynęło na zmianę takiego uczucia? — zapytała Sybilla.

— Spytaj pani raczéj, jakim sposobem mogłem tak długo w ślepocie pozostawać? Bóg to wié, ja nie mogę sobie dobrze wytłómaczyć. Widzisz bo pani, spotkałem pannę Cains trzy lata temu w Anglii, ale krótki czas z nią razem spędziłem. Zaręczyliśmy się, ale rzadko miałem sposobność z nią się spotykać. Oddalenie jest dziwnym czarodziejem, ciągła korrespondencja rozbudza fantazją. Może być, że i ona starała się trzymać mnie w odległości, pragnąc swobody i bogatego męża, za takiego mnie bowiem nie miała. Oszukała się biedna, bo jestem bogatszy od twojego ojca. Niech sobie cieszy się srebrnymi Kupidami i wytwornémi meblami; stryj Edward wystara się pani o bogatszego małżonka.

Ta obietnica oburzyła Sybillę.

— Nie chcę iść za mąż, rzekła cierpko;—mam na panu przykład co warta miłość mężczyzny. Sam pan nie wiész, dlaczego przestałeś kochać pannę Cains. Tak, samo to przyszło i poszło, a teraz cieszysz się ze zdrady, która mi serce zatruwa! I chcesz, żebym za mąż wychodziła! żebym była kochana przez dni kilka, a potém odrzucona jak zabawka, która się uprzykrzyła,—lub nawet znienawidzona tajemnie! Nigdy—nigdy! Wolę naprzód umrzéć!

Gwałtowność, z jaką wymówiła te słowa, zdziwiła Dermota. Opamiętawszy się, po chwili rzekł z uśmiechem:

— Ani wartość osoby, ani jéj piękność, nie budzi jeszcze miłości, któréj źródło jest tajemnicą. Ale, iżby rozsądny i uczciwy mężczyzna, ożeniwszy się z dobrą, piękną i ukochaną kobietą, przestał ją kochać,—temu nie mogę wierzyć. Uczucie, gust i sumienie, zachowają go stałym. Nieusprawiedliwione wiarołomstwo dowodzi umysłowego i moralnego zepsucia. Jeżeli kiedy pani wyjdziesz za uczciwego człowieka, potrafisz, ręczę, zapewnić sobie jego miłość bez żadnego usiłowania.

— Tak pan sądzisz? rzekła Sybilla z smutnym uśmiechem, który Dermotowi wydał się ironicznym.

— Pani mnie drażnisz, — rzekł zapłoniwszy się nieco. Pani krzywdę mi czynisz w swojéj myśli, ale gdybyś miała kilka lat więcéj, lub ja kilka lat mniéj, łatwiéjby mi było przekonać panią.

Zdawał się być raczéj gniewnym niż czułym, ale gniew minął prędko, a została czułość, w któréj znać było żal i wymówkę. Sybilli oddech zapierał piersi. Nigdy dotąd nie okazał jéj Dermot innego upodobania jak takie, które się czuje dla dziecka. Wyzwany teraz, wiedział dobrze co mówi, i szczerość przebijała w jego słowach. Jedno słowo, jedno spojrzenie, mogło doprowadzić do porozumienia, do szczęścia. Ale słowa takiego nie wymówiła Sybilla.

— Wolę umrzéć, niż zyskać go takim sposobem—myślała.

Widziała jego wzrok badawczy: w jednéj chwili uspokoiła się, przybrała chłodny wyraz twarzy. Dermot pomyślał sobie: „Nie może dotąd zapomnieć tego hrabiego!“—i myśl ta dręczyła go dotkliwie. Po chwili milczenia zapytała Sybilla, co ma mówić pani Mush.

— Nic;—my nic nie wiémy. Pani Mush widziała paki z meblami, widziała robotę, i wié w jakim celu się robi. Nie dziw się pani. Jestem pewny, że odgadła wszystko, i dlatego właśnie że odgadła, milczy. Zrób pani tak samo.

Mówił to spokojnie, chłodno, nie patrząc na Sybillę. Był niezadowolony z niéj,—widziała to Sybilla. Postawszy jeszcze chwilkę obok niego, zwolna się oddaliła.

Dermot był niezadowolny głównie z samego siebie. Cóż jego może obchodzić, że Sybilla tęskni jeszcze za niewiernym kochankiem? Czyż kiedy pragnął być dla niéj czém więcéj, jak przyjacielem? Czyż teraz nawet pragnie czego więcéj? „Pragnę tylko, żeby ta nierozsądna dziewczyna wyszła jak najprędzéj zamąż!“ pomyślał. Ale tu nasunęła mu się wątpliwość, czy rzeczywiście tylko tego pragnie? Sybilli przyjacielem być—to dobrze; ale jéj niewolnikiem... toby była szalona sprawa! W jednéj chwili próżność Dermota stanęła w pełnym rynsztunku. Uśmiechnął się pogardliwie, i rzekł w myśli stanowczo: „Nie!“

Cóś, z tego usposobienia, dostrzegła Sybilla, gdy się zeszli do śniadania. Pani Mush była rozmowna jak zwykle. Dermot śmiał się wraz z nią serdecznie; względem Sybilli był bardzo uprzejmy, ale z pewnym odcieniem poważnéj poufałości, jaką się względem dzieci przybiera. Słaba nadzieja, która przed chwilą zaświtała w sercu Sybilli, zamarła wprzód nim się rozwinąć mogła.

ROZDZIAŁ VII.

W kilka dni po rozmowie opisanéj w poprzednim rozdziale, Dermot spacerował wzdłuż brzegu morza. Był tak zamyślony, że niedosłyszał kroków Sybilli, idącéj lekko po piaszczystym gruncie, i ujrzał ją dopiéro gdy się z nim zrównała.

— Czyś pani, jak syrena, wyszła z morza?—zapytał.

— Nie,—odpowiedziała poważnie Sybilla.

— To się znaczy, że mogłabyś tak zrobić, gdybyś chciała. Ale za bladą jesteś na Syrenę. Kiedyż to zakwitną dawne róże na licach pani?

Pełen był uprzejmości i dobroci, ale jakże trudne było teraz ich zbliżenie, jak różne uczucia! Sybilla kochała go nieograniczenie, ale bez nadziei i bez pragnienia. Obojętność jego stłumiła jéj namiętność. Nie przypuszczała, iżby kiedykolwiek mógł ją pokochać. Słuchała też teraz jego pochwał lub komplimentów z nieporuszoną powagą. Uderzony tą zmianą Dermot, pytał się w duchu: czyż to ta sama Sybilla, dziecko jeszcze prawie przed kilkoma miesiącami? Ta blada, młoda twarzyczka, straciła swoję słoneczną otwartość, zamieniła ją na smutny wyraz starszych twarzy.

Niebo było pochmurne, i szarą barwą odbijało się w morzu; gdzieniegdzie tylko błyszczały na niém srebrzyste smugi. Drobne fale lekko uderzały o żółte, piaszczyste wybrzeże. Cisza panowała głęboka.

— Lubię taką pogodę—mówił Dermot. — Blaski słoneczne, zieleniejące pola, i ciągle szafirowe niebo, drażnią umysł,—podczas gdy takie przyćmione tony, łagodzą znękane serca. Przypominają nam, iż życie krótkie i pełne trosk, które cierpliwie trzeba znosić.

Sybilla zatrzymała się.

— Panie Dermot,—rzekła—znowu masz cóś złego do powiedzenia!

— Mam!—odpowiedział.—Ojciec pani dziś przyjedzie. Pisał do tapicera z poleceniem, aby wszystko było w gotowości.

— A do mnie nie pisał!—wykrzyknęła Sybilla.

— Chce pani zrobić niespodziankę.

— Tak,—rzekła Sybilla po chwili—muszę to znieść; wiedziałam, że mnie to czeka,—ale pan miałeś coś innego mi powiedzieć —przyszłam po to.

— Sybillo, masz pani dość zmartwień na głowie,—pocóż mam je zwiększać?—brzydkie porobiłem odkrycia, a pani jesteś tak młoda!—dodał z politowaniem.

— W ostatnim roku, smutek zrobił mnie dojrzałą; nieoszczędzaj mnie pan więc. Nic mnie już nie zadziwi, a mało co zmartwić może.

Dermot otworzył portfel, wyjął z niego skrawek papieru i wręczył Sybilli. Na papierze, tym ręką Blanki Cains, były napisane te tylko wyrazy. „Johnson i Spółka, Kwebek—Mountain Fairy.“

— Pani nic z tego nie wyciśniesz—rzekł odbierając od niéj skrawek papieru,—a jednak stał się on dla mnie kluczem do tajemnicy. Podniosłem go w pokoju pani Kennedy, podczas gdy ztamtąd wynoszono meble. Czy pamiętasz pani list, który skłonił mnie do tak nagłego wyjazdu? Nim siadłem na okręt, znalazłem czas do odwiedzenia korrespondenta, od którego list ów miał pochodzić, i dowiedziałem się, że list ten był sfałszowany. Wiesz już pani, dlaczego nie pojechałem do Kanady?

Sybilla spoglądała z przerażeniem.

— Ona go sfałszowała!—rzekła cichym głosem.

— Wiedziała, że mieliśmy obawy względem Johnsona, wiedziała że *Mountain Fairy* odpływa w owym dniu, i chciała się mnie pozbyć, nim za mąż pójdzie.

— I napisała ten list?

— Nie—oto list pisany ręką mężczyzny,—charakter zupełnie odmienny. Ale panna Cains ma brata.

— Nie; panie, nie ma go,—wtrąciła Sybilla.

— Ma,—tylko pani o nim nie mówiła, bo nie ma się z czego szczycić. Nie chcę mu krzywdy czynić, ale mogę przypuścić, iż pan Reginald Cains jest wspólnikiem swojéj siostry. Papier, na którym list jest napisany, jest taki sam, jakiego zwykle używa owa firma, mniejszych tylko rozmiarów. Widać, że wzięty z arkusza zdefektowanego w jakiś sposób, od którego odcięto część górną. Ot, tu ślady nożyczek. Zatem widać, że ten papier wzięty był z naszych akt, i posłany do Londynu na to, aby drugi raz tu wrócił. Teraz druga wskazówka: koperta jest zwyczajna, nie zaś niebieskawa, z nazwiskiem i adresem firmy w przezroczu. Teraz, spostrzegam to wszystko, ale w pierwszéj chwili, pod wrażeniem wiadomości, ani ja, ani ojciec pani, nie zwróciliśmy na to uwagi. On był rad, że mu się usunę z drogi, a mnie zajął sam interes. Byliśmy oba jak lalki, któremi ona poruszała, ciesząc się ze swéj zręczności. Spoglądasz pani z podziwieniem; czy sądzisz, że jest niezdolną do tego? Nie dziw się niczemu, i strzeż się pani.

— A pan?—rzekła Sybilla spoglądając w twarz jego.

— I ja strzedz się będę. A nawet mogę już z góry powiedzieć, z której strony padnie jéj pierwsza strzała. Jest to pewna, czarna plama na naszym widnokręgu, i stamtąd nadciągnie burza.

— Panie Dermot! co ona zrobi, co będzie usiłowała?

Dermot milczał.

— Nie mogę pani powiedzieć — rzekł po chwili; nie mam prawa do tego; ale, czy pani mówiła z nią kiedy o panu Smith, czy ona kiedy pytała panią o niego?

Sybilla spojrzała z przerażeniem na Dermota.

— Czy pan Smith jest ową czarną plamą na widnokręgu?—wymówiła nieśmiało.

— Nie odpowiadasz pani na moje pytanie.

— Tak, pytała mi się — ale panu wiadomo, że ja sama nic nie wiém.

— Trochę się ona wywiedziała, ale mniejsza z tém. I dla niéj i dla nas wszystkich lepiéj będzie, jeżeli nie poruszy téj sprawy.

Miał minę spokojną i poważną. Sybilli ścisnęło się serce.

— Zawszem nienawidziła tego człowieka! — zawołała gwałtownie.

— Nieczyń tego, on nam nie wyrządzi krzywdy, jeżeli ona zechce rozsądnie postępować.

— A jeżeli nie zechce?

— Jeżeli nie zechce, to będziemy mieli dużo kłopotu.

— A czy niemógłby kto wmięszać się w to i dać radę?

— Nikt—odpowiedział Dermot poważnie.— Ażeby dać radę, trzebaby jéj było opowiedzieć to, czego niepowinna wiedzieć, a gdy ufać jéj niemożna, nie można więc i ostrzedz, choć milczenie leży w jéj własnym interesie.

— Więc to tajemnica?--rzekła Sybilla.

— Tak jest, tajemnica ojca pani i moja. Mało kto o niéj wié, ale teraz może się okazać, iż jeszcze za wielu osobom jest znana. Może nigdy do niéj nie dojdzie, a może ją schwyci odrazu, i wszystko dla zemsty poświęci.

Sybilla daléj pytać nie śmiała. Wyraz twarzy Dermota nie zupełnie zrozumiały dla niéj, pod tym jednak względem był wyraźny, że dość już rozmowy w tym przedmiocie, że więcéj objaśnień nie udzieli.

— Tak więc—rzekła smutnie—ona będzie działać na szkodę pana, a ja tylko przypatrywać się temu będę mogła. A mój ojciec, czyż na wszystko pozwoli?

— Ojciec pani pozwoli na wszystko, dopóty, dopóki się sama nie zdradzi—do czego musi dojść w końcu. Ale nim to nastąpi, mamże mu powiedzieć, że byłem narzeczonym jego żony i że posłała mnie do Kanady, ażeby się mnie pozbyć? A tóżby nasza przyjaźń skończyła się natychmiast! I bez tego pewny jestem, że nim rok minie, potrafi nas stanowczo poróżnić. Na to niema rady, ale jeżeli pani mi sprzyjasz, nic a nic o tém nie mów. I cokolwiek się dowiesz, nigdy nie mów o tém ojcu.

Sybilla siadła na krawędzi skały, i spoglądając na fale podsuwające się jéj prawie pod same nogi, pomyślała, że w głębi ich spoczynek by znalazła.

— Wolałabym umrzeć!—zawołała gwałtownie—o, wolałabym umrzeć! Ta która kochałam, jest nieprzyjaciółką pana i moją. Jest złą, nikczemną, zdradziecką, a ja muszę brzydzić się tą, którą kiedyś tak wielbiłam, i na domiar wszystkiego, ona tu dziś przyjedzie, jako żona mojego ojca!

— Wolałabym umrzeć!

— A ja wolałbym był nic nie mówić — odpowiedział Dermot z wyrzutem. Zawierzyłem w siły pani, i otóż jaki skutek!

— To nad siły moje!—zawołała Sybilla. Czyż pan sądzisz, że nie dbam o pana? że mogę spokojnie myśléć o jéj nienawiści względem pana? Strzeż się pan, powiadam, strzeż się! Przypominają mi się teraz niektóre jéj wyrażenia. O, wolałabym żeby mnie te fale martwą o brzeg rzuciły, byle nie czuć tego co teraz czuję!

— Sybillo! Sybillo! jeżeli dbasz o mnie, nie mów nigdy w ten sposób;—rzekł Dermot tonem głębokiego smutku. Nigdy nie spoglądaj tak rozpaczliwie, bo doprowadzisz do ostateczności moję dla Blanki Cains nienawiść. Potém dodał spokojniejszym głosem.—Będę unikał starcia, a jeżeli go uniknąć nie zdołam, to postaram się zwyciężyć napaść przeciwniczki. Tylko takich słów jak ostatnie, nigdy nie wymawiaj Sybillo. Zwykle nie ulegam wpływowi wyobraźni, ale czasem opanowywa mnie ta, więcéj okrutna niż dobroczynna, władza. I teraz, owa sunąca się do brzegu fala, przybrała w moich oczach postać ludzką,—ujrzałem ciebie leżącą na piasku, z bladą twarzą zwróconą ku górze, z włosami uwikłanémi po rostem morskim, gdy zimne fale uderzają o ciebie!... (*D. c. n.*)

WIENIEC.

— Sam już tytuł rubryki niniejszéj, daje się zawsze spodziewać czytelnikowi, jakichś tylko *nowin-kwiatów* z pachnącego ogrodu sztuki lub wiedzy, nareszcie... ruchu społecznego, — nigdy zaś ze świata, z którego my dziś naciśnięci rolą, którą niestety, podjęliśmy się spełniać: kronikarza, czerpać musimy; mianowicie, ze świata—*śmierci*. Wybaczcie!.. ależ, prawdę mówiąc, tak trudno jest, na naszym tu padole, to co jest *właściwém życiem*, od tego co jest *rzeczywistą śmiercią*, rozróżnić, — iż kronikarzowi bezwzględnie grzechy takie przebaczać należy.

Do jakiéj *np.* kategorji zaliczycie wy sami wiadomość: o zbudowaniu nowego działa, którego pocisk waży 700, wyraźnie 700 funtów, —o czém nam niedawno Gazeta Polska doniosła? Zaiste, gdyby był Jowisz o istnieniu kul takich wiedział, nie potrzebowałby był wcale tyle trudu i mitręgi poświęcać na zwalczenie Tytanów!

Przeciwko jakim Tytanom zbroi się taką bronią teraz Anglja? Czy potrzeba jéj się aż do takich środków, w nadziei rozprawy z nimi, ściekać? Kwestya — którą niech rozstrzygną politycy.... z *emerytalnéj* allei w Saskim ogrodzie.

My, ze swojéj strony, przywoławszy tylko wyobraźnią, fantom rzeczonego Państwa przed siebie, pozwolimy sobie przemówić do niego:

Szlachetna Angljo! setkami mil kwadratowych władasz na samym lądzie Europy,—tysiące mil takichż zapełniasz sobą w Azji,—w Ameryce, w Afryce i w Australji, masz jeszcze drugie tyle... na milach tych służą ci miljony ludu, sam gwar mowy których, inne ludy ogłusza—Małoż ci jeszcze tego wszystkiego?

Naprawdę-ż wierzysz, iż szczęście państw i narodów na szerokości ich granic tylko, polega? Że Rzym, Rzym wielki, szczęśliwszym był od Grecji np.? Szwajcarja dzisiejsza lub Hollandja, od... Ciebie?

Brakujeż jeszcze Lordom twoim pieniędzy? ludowi twojemu—pieców do zadymiania niémi atmosfery?.. szkołom twoim—ciemnych, co się chcą uczyć, a nie mogą? szpitalom—chorych? domom przytułku—biednych? więzieniom—przestępców?

Poradziłażeś sobie już z tymi choćby, których los oddał dotąd macierzyńskiéj opiece twojéj? Oczyściłażeś przedmieścia grodów swoich z nędzarzy, co wołając chleba, umierają z głodu?

A!... bronić się chcesz przed napaścią? — Dobrze. W takim razie przepraszam... Lecz i to robiąc, powiém jeszcze:

Daj przykład! — Postaw miłość swojego ludu przeciwko kartaczom—wiedzę jego przeciw fanatyzmowi — czystość obyczajów przeciw chciwości i demoralizacji innych ludów... Spróbuj!

Rozbrój się z *dział* a uzbrój w *światło* !...

Wojna trwa tylko o tyle na ziemi, o ile suszymy sobie głowy nad wymyślaniem coraz nowych narzędzi do *mordowania się* wzajem.

Gdybyśmy dwóm *dzikim*, stojącym naprzeciwko siebie, odebrali łuki, odjęli jakimkolwiek sposobem ręce i nogi, oraz powyjmowali im z ust zęby,—smusilibyśmy ich wkońcu do rozprawiania się z sobą na *myśli*, na *rozumy* (jakiekolwiekby te mieli)... jeśliby im już przyszła konieczna, *bicia się* ochota.

Ty wiész o tém .. Wiész, jaka do *spokoju* droga... Więc daj przykład!

Niech ludzkość i nauka zawdzięczą mechanikom twoim wynalezienie maszyny, któraby okręt lub miasto całe od jednego ruchu zbudowała, zamiast je zniszczyć, jak to chcesz robić!"

. . . .

Lecz na miłość Boga—czytelnicy! Wystawiam sobie, jakeście się znudzić musieli tą całą gawędą kronikarza swojego z fantomem.

Wybaczcie znowu. Oto mam zaraz w pogotowiu, na pocieszenie wasze, nowinę, która dalibóg sama o sobie warta tysiąca takich, jak pierwsza. Kurjer Warszawski, mianowicie, pismo dobrze wam zapewne i z dobrych tylko stron znane, donosi, wślad za tążsamą Gazetą Polską, o zaczerpniętym ze szpalt *Gazety Kieleckiéj* fakcie, odbycia się w Szczekocinie, w dniu 21 zeszłego miesiąca, *Posiedzenia gospodarczego* rolników i agronomów naszego kraju, celem obmyślenia nowych środków dla rozwoju posperacji téj najważniejszéj u nas gałęzi narodowego pracownictwa. Lecz nie samo tylko to odbycie się wzmienionego posiedzenia nas zajmuje; jeśli gdzie bowiem, to u nas niestety, zbierają się często sessje na to, aby na nich panowie obradujący, nic nie uradziwszy, przeziewali tylko kilka godzin czasu, i ogół nadaremnie pufami o nic nieznaczących innowacjach zalarmowali—jak tego niedawno mieliśmy przykład w zebraniu członków Stowarzyszenia „Merkury", gdzie po długich sporach i debatach, uradzono... nic nie uradzono.

Posiedzenie w Szczekocinie, o którém piszę, zadecydowało trzy bardzo ważne, a nowe paragrafy, w dopełnieniu do kierującéj dotąd sprawami jego ustawy.

Pierwszym z nich jest: założenie *kassy emerytalnéj* dla wiejskich, a poświęcających pracę swoję działowi gospodarstwa rolnego, officjalistów.

Drugim: założenie *bibljoteki gospodarskiéj*, z zamiarem rozszerzenia jéj do rozmiaru innych bibljotek częściowych, istniejących w kraju.

Trzecim zaś paragraf: aby każdy z mówców występujących na zgromadzeniu z podawaniem projektów, dotyczących polepszenia stanu gospodarstwa krajowego, — miał zawsze wyznaczonego sobie naprzód, do rozbierania dyskussji swojéj, opponenta.

Pomijając filantropijne i naukowe znaczenie dwóch pierwszych punktów, zatrzymujemy się osobliwie na trzecim, zwracając uwagę czytelników na to, jak ważném jest w kwestjach poruszających żywotne interesa narodu, dopuszczenie podobnego sposobu argumentowania *nowych projektów*, i o ile tenże, jako wywołujący ciągłe ścieranie się zdań i sądów, dostarcza żywiołu pozytywnego gałęzi wiedzy lub przemysłu, protegowanéj przez takie zgromadzenia.

Gdybyż ten punkt ostatni mógł być wprowadzonym w użycie i w kwestjach dotyczących spraw literatury naszéj! Iluż głupstw wtedy mielibyśmy mniéj do czytania po szpaltach gazet i pism illustrowanych! Taki *np.* artykuł: „*o stanowisku Karpińskiego w literaturze*", zamieszczony w pierwszych zaraz numerach narodzonego w tym roku pisma „*Wieniec*", jakżeby całkiem inaczéj wyszedł może z pod pióra p. Korotyńskiego, gdyby tenże z góry, na publicznego opponenta, w poglądzie swoim na wełniano-strunną lirę sielankowicza-poety, liczył! Owa surowość ojcowska staropolska, tyle wychwalona w artykule owym, przybrałaby może postać wstrętnéj jezuickiéj *dyscyplinomanii*,—szlachecka poety poczciwość, postać niedołęztwa i *zaściankowości*,—a sentymentalizm wierszy jego, smak... *lukrecji* !

No — i wiele innych rzeczy pokazałyby się nam wówczas całkiem inaczéj.

A propos pism *nowych*, gdyśmy już zatrącili o jedno z nich, nie możemy się powstrzymać od wyrażenia szczeréj radości, z polepszania się z każdym prawie numerem wartości wewnętrznéj tychże organów, które idąc daléj tymże samym krokiem co dotąd, mogą nie na żarty dać się we znaki strupieszałemu „Tygodnikowi" o parafjalnych *kapliczkach* i *kościołkach*, a nawet i żywszym od niego „Kłosom".. choć te, nie dają sobie jakoś dmuchać w kaszę. Poruszono się—one się też po ruszyły i... ba! ba!—patrzcie no jakie artykuły! „Przegląd prasy perjodycznéj", „Z obcego świata" „Listy" jakieś! Lecz właśnie... Korzystając z okazji, chcemy chwilkę nad owym „Przeglądem" się zatrzymać, aby zwrócić uwagę szanownego autora tegoż artykułu, że niekoniecznie w porę wybrał się z filippiką swoją przeciwko „Przeglądowi Tygodniowemu",—pismu właśnie, któreby za jego znaczny postęp w rozwoju tak wewnętrznéj jako też i zewnętrznéj architektoniki w tym roku, bezwarunkowo chyba pochwalić tylko należało. Rzecz dziwna! — że kiedy ów sam „Przegląd" małém jeszcze będąc pisemkiem, prawdziwe grzechy wobec *godności* literackiéj, czy to z przeświadczenia, czy téż zmuszony do tego złym smakiem prenumeratorów swoich, popełniał,—nikt przeciwko niemu głosu publicznie nie podnosił, i jakoś prasa nasza z tolerancją na niego patrzyła; teraz, gdy właśnie wyszedłszy na szersze pole i rozwinąwszy skrzydła, stał się wcale poważnym i pożytecznym organem w zbiorze warsztatów redakcyjnych tutejszych, — teraz mówię, pokoju mu nie dają, i każdy zbrodnie prawie w nim upatruje.

Rozumiémy możność czynienia zarzutów „Przeglądowi" *dzisiejszemu* z punktu zapatrywania się nań innéj jakiéj szkoły, *idealistów* np. za jego uparte wyznawanie zasad *pozytywizmu* i wkraczanie nawet częste, zpowodu braku umiarkowania, w czysty *materjalizm*. Lecz zaprzeczania temu pismu wszelkich zasług w rzędzie innych tutejszych... tego, choćby już z racji jednéj jego zalety, którą przeważnie się odznacza, mianowicie: *żywotności*, pojąć nie możemy. Każdy sąd beznamiętny tém się właśnie odznacza, że w rzeczach najgorszych nawet w świecie, przypuszcza pożyteczność ich i *utylitaryzm* względny, jako *sił* działających konsetwentnie, w stosunku do tych co je poprzedziły, i co po nich nastąpią. Takiego sądu nie spotkaliśmy w krytykach dotychczasowych skierowanych na „Przegląd", i dlatego bezstronności ich nie dowierzamy. Dla nas faktem jest, że „Przegląd", zacząwszy od 300 prenumeratorów, i nabywając ich potém coraz więcéj i więcéj, przetrwał, jako pismo, ośm lat w kraju, — że zatém musiał znaleźć w społeczeństwie naszém *podstawowe* dla siebie czynniki, kiedy zamiast upaść rozszerza jeszcze swój program i format w tym b. roku. Szczęść mu Boże! — oto, co mu téż od siebie przesyłamy, pomimo że teorji, którą wyznaje, nie jesteśmy wcale *bezwzględnymi* zwolennikami, i że w wielu, bardzo wielu punktach, nie sympatyzujemy z zapatrywaniem się jego na rzeczy.

Wzmianka końcowa o *teorji*, nasuwa nam na myśl identyczny w wielu względach wyraz *szkoła*, a ten znowu każe zejść niżéj jeszcze, do wspólimienniczki swojéj innéj *szkoły*, złożonéj z żaczków, żaków, starszéj młodzieży i.. nauczycieli.

Myślimy o szkole otworzonéj świeżo dla dzieci-izraelitów, pod dyrekcją i zarządem p. Szönmanna. Zdanie wypowiedziane o tym zakładzie, (który już prosperować zaczął), przez jakiegoś p. S. R....n w „Izraelicie", najzupełniéj wydaje się nam słusznem, jakkolwiek delikatność, z jaką w artykule swoim obchodzi się tenże p. S. R...n z żydkami, co dla fanatycznych czysto względów, dzieci swoje do innych szkół publicznych posyłać nie chcieli, woląc czekać raczéj, z oświatą tych *prawowiernych* latorośli swoich, aż do otwarcia (przypadkowego zresztą tylko), podobnéj, jak obecna, *izraelskiéj* wyłącznie szkoły, — delikatność ta, mówię, i przesadną i bezpotrzebną nam się wydaje. Naszém zdaniem, *zacofanie* wszelkie jest... zbrodnią — niczém więcéj, i wyraźnie po imieniu nazywać go nigdy nie zaszkodzi. Kazać mózgowi dziecka swego schnąć w brudnym jakimś *chederze*, (gdy mózg ten ma prawo żyć i rosnąć), dlatego, żeby przez dziurki czaszki, zaraza *goimowa* w mózg ten się nie dostała,—postępek ten jest tylko nędzą moralną, i jeśli nie karanym przez prawo jako taki, to przynajmniéj przez opinją publiczną chłostanym na wszelki sposób być winien. To też z takim poglądem na rzeczy, my, ze swojéj strony, ciesząc się bardzo wprawdzie z powstania nowéj *szkoły*, jako lubiący, choćby na każdym kroku, spotykać się z tego rodzaju zakładami śród ludzi,—nie tajemy jednakże zdania, iż wolelibyśmy widzieć jak najmniej szkół po świecie, u proga których pytają ci się najpierw: *kim jesteś?*, czyś nosił np. lub nie, pejsy? a potém dopiero: *czy masz chęć lub nie, do nauki?*

Ta ostatnia uwaga nasuwa nam wiele innych jeszcze—lecz, że „Opiekun" musi się rachować z miejscem—więc na dziś... koniec.

a. b...

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.

☛ Patrz Dodatek.